

[horyzont dzieła]

## Jerzy Jarzębski: Komentarz do komentarzy: Schulz edytorów

Gdzieś na początku roku 1990, choć z datą 1989, ukazało się pierwsze wydanie tomu prozy Schulza w „Bibliotece Narodowej”. Natychmiast wysłałem egzemplarz Jerzemu Ficowskiemu, wobec którego moje długi wdzięczności były niezmiernie. Niebawem otrzymałem odpowiedź, która bardzo wiele mówi o jego naprawdę bezinteresownym oddaniu sprawie. Pan Jerzy bite cztery strony gęstego maszynopisu poświęcił nie tylko prostowaniu moich błędów, ale też wtajemniczaniu mnie w rozmaite kwestie, w których się wówczas nie w pełni orientowałem, a także osobistym refleksjom na temat Schulza i jego interpretacji. Jednocześnie osładzał tę krytykę pochwałami, zaprzeczając całkowicie pogłoskom, które na temat właściwej mu rzekomo apodyktyczności, pieniactwa i egotyzmu tworzyli niektórzy spośród jego współzawodników w dziele poznawania Schulza. Zamieszczam tutaj ten długi list w całości, aby dać czytelnikowi dowód na to, jak rzeczowe i pozbawione jadu czy napastliwości były jego uwagi i zarazem jak łatwo on sam przyznawał się do błędów.

Warszawa, 10 III 1990

Szanowny Panie –

dziękuję Panu serdecznie za pięknego Schulza. Proszę mi wybaczyć, że czynię to ze sporym opóźnieniem, ale nie chciałem zdawkowo dziękować za dar, nie dzieląc się jednocześnie z Panem swymi uwagami, o które zresztą Pan prosił. Lektura musiała się najpierw odwlec, a potem potrwać nieco. Jestem już po niej – pełen uznania dla Pana pracy. Wiem dobrze, że niełatwo w takim skróto- wym ujęciu ogarnąć całość i nie pominąć spraw najistotniejszych. Wydaje mi się, że zdołał Pan to osiągnąć w niemal doskonałej mierze. Wszystkie, jak mi się

zdaje, najważniejsze aspekty zostały uwzględnione w Pańskim obszernym wstępie i miło mi, że i ja się na coś przydałem – zwłaszcza w zakresie biografii pisarza. Niestety, nie tylko przydałem się, lecz również... zaszkodziłem tu i ówdzie własnymi pomyłkami, na których Pan się oparł...

W czasie pracy nad książką nie było jeszcze opracowanej przeze mnie *Xięgi bałwochwalczej* (czy ją Pan ma?). Uzupełniłem i poprawiłem w niej własne wcześniejsze informacje na temat studiów Schulza we Lwowie i w Wiedniu. Nieco inaczej wyglądają dotyczące ich daty i inne szczegóły. Dokonać tych errat mogłem dopiero niedawno, na podstawie dokumentów odnalezionych w archiwum lwowskim. Wiosną wyjeżdżam do Lwowa i Drohobycza i przywiozę stamtąd mikrofilm wszystkich „Schulzowskich papierów”, które się tam znajdują. Być może przyczynią się one do jakichś dalszych korektur.

W *Regionach* istotnie pisałem, że matka zmarła „tuż przed debiutem” Brunona (czy „w przededniu debiutu”), ale już w *Okolicach* (s. 19) podałem prawdziwą datę jej śmierci: 23 IV 1931. Wynika stąd, że od tej daty do debiutu miało minąć ponad dwa i pół roku. Zapewne nie zauważył Pan tej daty w *Okolicach* przed napisaniem: „Tuż przed jego książkowym debiutem umarła mu matka, a wcześniej jeszcze, na wiosnę 1933 roku poznał swą przyszłą narzeczoną...”

Pisze Pan: „Henrietta z Hendel Kuhmärkerów”. Otóż Hendel to imię żydowskie (którego nie używała, zastępując je Henriettą, na przykład na szyldzie sklepowym), nie zaś część panińskiego nazwiska (nb. w dokumentach metrykalnych jej nazwisko *de domo* raz pisane jest jako Kuhmärker, a innym razem – Kuhm e rker).

Wspominając o masochizmie Schulza, daje Pan wyraz niepewności w tym względzie („jeśli wierzyć relacjom przyjaciół”). Świadcstw (nieraz drastycznych a wiarygodnych) jest wiele, wszystkie są zgodne, nie zaprzecza im nawet b. narzeczona. Jest to więc fakt bezsporny.

Co do *Mesjasza*, to jestem raczej skłonny uznać, że powieść ta była zaawansowana, ale nie „lub nawet gotowa”. W listach do Truchanowskiego (i innych) nie chce o niej wspominać, mówi, że to dlań temat bolesny, że nie jest w stanie jej kontynuować... A w odpowiedzi na ankietę „Wiadomości Literackich” w 1939 r. w ogóle o niej nie wspomina (pisząc o prawie ukończonym zbiorze, złożonym z czterech nowych opowiadań), choć ankietę dotyczyła zamierzeń i realizacji autorskich.

Wspomina Pan (s. XVIII) relację Truchanowskiego o przygotowywanym z jego inicjatywy porwaniu-uratowaniu Schulza. Zamieściłem o tym wzmiankę. Truchanowski żądał jej ode mnie, obiecując udostępnienie listów Schulza. Moje starania trwały długie lata: najpierw T. twierdził, że listy te zaginęły w czasie wojny, później – że zapewne spalili je kwaterujący w jego mieszkaniu Niemcy (wraz z licznymi książkami używanymi na rozpałkę), jeszcze później – że poszuka... Trwało to ok. 20 lat. W końcu wypożyczył mi kilka listów B. Sch. oraz... skra-

wek (raczej: „urywek”) listu, świeżo oderwany (jak pod lupą stwierdziłem) od nieznaney mi (i nikomu prócz T.) reszty. Nałkowska, z którą parokrotnie o Schulzu rozmawiałem, nigdy o owej rzekomej próbie ratunku (w wersji T.) nie wspominała, choć mówiła o mniej istotnych sprawach... W wydaniu amerykańskim listów (USA, 1988, Harper&Row) pominąłem już tę wersję uznając ją za niewiarygodną; tak samo – we francuskim wydaniu (w druku, Paryż, Denoël). Uważam, że jest to wymysł (mitomania?) Truchanowskiego, będący może rezultatem urazów (wytykanie mu przed wojną plagiatu) i chęci wylegitymowania się „zasługą” wobec Schulza. Jest to prawdopodobne, o czym między innymi świadczyć mogą różne wypowiedzi T.: „Polityka” sprzed paru lat, wspomnienie zamieszczone w programie operowym (*Manekiny* Rudzińskiego), gdzie między innymi podaje najzupełniej nieprawdziwą informację, że spotykał się z Schulzem w kawiarni warszawskiej, gdzie porównywali swoje najnowsze utwory, tak sobie „pokrewne”, choć „niezależne”. Wówczas T. skreślał w swym tekście fragmenty nazbyt przypominające tekst Schulza, zaś Schulz... wykreślał ze swych utworów te ustępy, które obaj zgodnie uznali za zbyt „truchanowskie”!!! – N o t a b e n e o niesłychanym zjawisku plagiatu (pozaświadomego?) T. napisałem już dość dawno szkic, którego nie publikuję ze zrozumiałych powodów: T. ma już 86 lat i nie chce skracać mu życia. (Mam – w oryginale – list Schulza do Pleśniewicza, którego fragment, zabójczy dla T. i jego plagiatów nieudolnych z Schulza, jako j e d y n y pominąłem (z tych samych względów) w *Księdze listów*. Ale już w amerykańskim i we francuskim wydaniu przywróciłem ten fragment... Mam nadzieję, że książki te nie dotrą do rąk T.)... O tej rzekomej-wymyślonej akcji (porwania Schulza przez członka podziemia, przebranego za gestapowca) Schulz oczywiście nic nie mógł wiedzieć. Relacje Górskiego (*Listy. Fragmenty. Wspomnienia...*) czy Friedmana mówią o zamiarze ucieczki z fałszywymi dokumentami, nie zaś o zabiciu Schulza tuż przed zorganizowanym przez T. porwaniem, jak Pan zdaje się sugerować.

W paru miejscach, w przypisach, podaje Pan objaśnienia, z którymi nie mogę się zgodzić: s. 62 „ulica Leszniąska – odpowiednik ulicy Liszniąskiej w Drohobyczu”. W istocie jest to błąd drukarski, „literówka”, powtarzany za pierwszym wydaniem; powinno być: Liszniąska. Schulz pisze w tymże opowiadaniu o Żupach Solnych, podaje nazwisko prof. Arendta – zgodnie z prawdziwymi nazwami i imionami autentycznych miejsc i ludzi. Uważam też, że zamiast pisać: „pistacci – (właściwie psittaci)” należało w tekście Schulza poprawić – jak w poprzednim wypadku – ewidentną omyłkę druku – bez żadnych obaw, że się poprawia Schulza. Innym błędem komentatora jest, moim zdaniem, objaśnienie (s. 64): „Zmierzch bogów – aluzja jednocześnie do gipsowych odlewów antycznych rzeźb i do tytułu znanej opery Ryszarda Wagnera”. „Zmierzch bogów” nie ma tu związku z Wagnerem. To „Götterdämmerung” – oznaczający czas upadku i rozprzężenia, a więc coś o znacznie szerszym przenośnym znaczeniu niż tytuł opery.

Skoro o przypisach, objaśnieniach mowa – sprawa zasadnicza. Jest pewien błąd, istotna niekonsekwencja – nie przez Pana zawiniona, ale wynika z zasady edytorskiej serii „Biblioteki Narodowej”. Książki w niej wydawane nie są przecież przeznaczone dla czytelników nieinteresujących się literaturą, humanistyką, nieobeznanych z powszechnie stosowaną terminologią; powiedzmy też, że nie są to lektury wyłącznie dla specjalistów, profesjonalnych znawców przedmiotu – ale jednak dla... inteligentów. Toteż opatrywanie objaśnieniami takich słów, jakie przykładowo wymienię, jest niczym nieuzasadnione i niekiedy – niemal komiczne. Na przykład: filigran, szabas, *elephantiasis*, bodiak, arabeski, szafan, alembik, fluid, jaźń, idol, amalgamat, Golem, panoptikum, oleander, sepia, polifonia, eldorado, stygmat – itd., itd. – Jeśli przy tym czytamy w tej samej książce (s. XVIII i n.) pozbawione objaśnień (i słusznie!): „eschatologicznej”, „inicjacji”, „mikroutopie”, „funkcji kompensacyjnej”, „nurtu personalistycznego”, „wizualizują obsesje”, „przewaga hipotaksy nad parataksą” – to rażące wrażenie braku konsekwencji uderza nas z całą mocą.

Przy pewnych drobnych akcentach polemicznych wobec niektórych „szulzologicznych” twierdzeń innych autorów zdziwił mnie nieco brak jakiegokolwiek oceny *Rzeczywistości zdegradowanej* Sandauera, w której efektywność wywodów i autonomiczna, „samowystarczalna” konstrukcja idą nierzadko w parze z dowolnością i merytorycznym „naciąganiem”.

Wreszcie (to już nie „pretensja”, tylko uwaga na marginesie lektury) Pana uwagi o oniryczności Schulza skłoniły mnie do refleksji, że ta „oniryczność” jest bardzo różna – mimo „jednorodności” prozy tego pisarza. Może wynika to z faktu, że Schulz przez długie lata pisał do szuflady, doskonalił swą twórczość i oto mamy do czynienia z tworam i różnych epok tej twórczości? Lub przynajmniej – z f r a g m e n t a m i „dawnymi” i „nowymi”? Są i inne *quasi*-dowody potwierdzające tę hipotezę, na przykład gry słów w *Wichurze*, eksperyment onomatopieczny, igraszki brzmieniowe – nigdzie indziej u Schulza w takim stężeniu, zgęszczeniu efektów niepowtarzane, nierozwijane (może oprócz znacznie subtelniejszego opisu czasu „starej Maryśki” z *Sierpnia*: „rosnący w jaskrawym milczeniu poranka z głośnego młyna zegara, j a k z ł a m ą k a, s y p k a m ą k a, g ł u p i a m ą k a w a r i a t ó w”). W *Wichurze* mamy: „bełkotliwe flaszgowanie, bulgoty butli i baniek”, „strychy wystrychnięte ze strychów”, „najazd pyskujących skopców i bredzących cebrów”, „dudniąc dnami [...] dyndały się [...] stągwie zdunów [...] i cylindry dandysów” itp.

Wydaje mi się, że są to znamiona „wczesnej twórczości”, niekontynuowanej później. Ale wracam do oniryczności. *Sklepy cynamonowe* (opowiadanie pod tym tytułem) mają znamiona oniryczności odmienne niż w większości utworów Schulza, rzekłbym: „wczesne”, pozbawione tego, co nazwałem gdzieś Schulzowską m i t o l o g i k ą, bez właściwej temu pisarzowi mitycznej (czy: magicznej) egzegezy. W scenie z malejącym „drewnianym” konikiem z raną w brzuchu mamy do czynienia z onirycznością absolutną, bez owego – jak Pan powiada – „po-

rzędu świata”, nieodgadnioną. Zapis snu o nieodczytanych hieroglifach, o poetyce innej, niekiedy zabarwionej „poetyckością” wtórną, niższej rangi, jak na przykład owe opadłe, zbierane ze śniegu gwiazdy, czy ów „śnieżny” zapach fiołków. Dlatego uważam *Sklepy cynamonowe* (opowiadanie) i *Wichurę* za utwory powstałe wcześniej, lub takie, do których autor włączył swe wcześniej utrwalone słowem urywki. – Oczywiście nie piszę tego po to, bym sugerował, że mi tego brak w Pana opracowaniu; nie byłoby na to miejsca. Ot, po prostu dzielę się z Panem moimi marginesowymi refleksjami.

Wracam *ad rem*. Książka jest cenna i od dawna potrzebna. Mimo ceny nie mam wątpliwości, że się rozejdzie (a nawet mam wrażenie, że już to nastąpiło). Pana tekst jest doskonały – myślę, że ponad miarę tego, czego oczekiwać by można w tej serii wydawniczej, choć przecież jest to seria zasłużona, o dużym ciężarze gatunkowym. Gratuluję i raz jeszcze dziękuję za pamięć, egzemplarz i za wyrazy uznania.

Moje *Regiony wielkiej herezji*, na których nowe wydanie podpisałem umowę już dawno z Wydawnictwem Literackim, padną prawdopodobnie ofiarą kryzysu, jak wiele innych książek... Na razie wydawnictwo milczy, a ja boję się zadawać pytania. Zobaczymy. W krakowskim KAW-ie mam „w produkcji” książkę o Witoldzie Wojtkiewiczu pod tytułem *W sierocińcu świata*. W.W. to – obok Schulza i Leśmiana – mój „odwieczny” bóg w sztuce polskiej. Na razie jeszcze książka nie padła i ufam, że się mimo wszystko ukaże.

Łączę pozdrowienia i wyrazy wdzięczności

Jerzy Ficowski

List Ficowskiego jest ciekawy i ważny sam w sobie – jako dokument pokazujący, co dla starszego, bardziej kompetentnego i doświadczonego badacza, biografą i edytora Schulza było rażące w opracowaniu tekstu pisarza przez debiutanta w edytorskim fachu. Zresztą uznałem autorytet „ojca schulzologii” i zgodziłem się z większością jego propozycji korekt z wyjątkiem jednej sprawy, która nadal wydaje się nierozstrzygnięta i należy do najtrudniejszych zagadnień edytorstwa. To jest kwestia doboru wyrazów, które decydujemy się objaśnić w przypisach.

Na pierwszy rzut oka Ficowski ma oczywiście rację: „Biblioteka Narodowa” to nie jest seria dla przedszkolaków ani dla czytelników przypadkowych, jakie jednak kompetencje przypisać takiemu „nieprzypadkowemu” odbiorcy? Czy to – jak pisze mi Ficowski – „inteligent”, czy raczej adept w rodzaju studenta filologii? A jeśli student, to czy raczej „piątkowy”, czy zadowolający się trójczynnami? Pochodzący z miasta czy ze wsi? I z jakiej rodziny? Zbierającej książki od pokoleń czy zadowolającej się półeczką z książką kucharską i stosikiem przeterminowanej prasy kolorowej? Wyważenie kryteriów, w zgodzie z którymi przypisujemy modelowemu czytelnikowi „Biblioteki Narodowej” jakiś rodzaj minimalnej wiedzy ogólnej, jest ogromnie trudne i edytor książki w tej – poważnej,

ale nastawionej wszak na edukację – serii wydawniczej zawsze wybierać musi między dwiema śmiesznościami: z jednej strony śmiesznością cierpliwego „objaśniacza”, który pracowicie kopiuje w przypisach *Słownik wyrazów obcych*, z drugiej – śmiesznością starego profesora, przekonanego święcie, że „każdy kulturalny człowiek” musi znać przynajmniej łacinę, grekę i kulturę antyczną na poziomie przedwojennej matury.

Na domiar złego edytor musi brać pod uwagę, że jego opracowanie może służyć czytelnikom przez kilka dziesięcioleci, podczas których stopień znajomości klasycznych pojęć i terminów może się znacząco zmniejszać, choćby pod wpływem amerykanizacji kultury. Tu przypominają mi się rady kolegów zza Atlantyku, którzy przestrzegali mnie, abym w artykułach przeznaczonych dla Amerykanów nie używał, broń Boże, rozpowszechnionych w Polsce zwrotów łacińskich typu: *mutatis mutandis*, *sensu stricto*, *cum grano salis* i tym podobnych, bo tam nikt ich nie zrozumie. Niebawem, jak można sądzić, taki proces powszechnego zapomnienia antycznych korzeni kultury może zająć również u nas. Co ciekawe, obiekcje Ficowskiego dotyczące tłumaczenia w przypisach wymienionych przezeń w liście wyrazów (filigran, szabas, *elephantiasis*, bodiak, arabeski etc.) wydawały mi się w roku 1990 jakoś uzasadnione i rzeczywiście w następnym wydaniu Schulza z roku 1998 część haseł z listy Ficowskiego usunąłem. Dziś upierałbym się raczej przy ich pozostawieniu, wiedząc dobrze, jak banalne sprawy trzeba czasem tłumaczyć studentom w trakcie zajęć. A edycja „Biblioteki Narodowej” nie może być adresowana wyłącznie do tych najzdolniejszych i najlepiej w domu wyedukowanych, ale do przeciętnych słuchaczy polonistycznych studiów. Wybór słów, które decydujemy się objaśnić, musi więc wynikać z intuicji i z doświadczeń osobistych edytora.

Inne nieco kryteria obowiązują autorów komentarzy do rzadkich i skierowanych głównie do środowiska profesjonalistów edycji krytycznych typu A. Tym profesjonalistom już istotnie nie trzeba tłumaczyć wyrazów z listy Ficowskiego, chyba że zostały przez pisarza użyte w jakimś specyficznym sensie (u Schulza pojawia się na przykład słowo „szlabany” nie w znaczeniu podnoszonych i opuszczanych barier, ale w zupełnie zapomnianym dziś znaczeniu drewnianych, rozkładanych skrzyń, pełniących funkcję tapczanów). Na ogół jednak unika się w takich edycjach objaśnień typu słownikowego, pozostawiając je głównie przy mało znanych regionalizmach, kładzie się natomiast nacisk na komentarze bardziej zaawansowane, natury interpretacyjnej (kiedy na przykład jakieś słowo można rozumieć w tekście dwojako albo kiedy jego zrozumienie wymaga włączenia do komentarza rozbudowanego kontekstu kulturowego). W edycjach typu A obowiązkowo też uwzględnia się warianty tekstu. Ten typ edycji definitywnej musi również brać pod uwagę potrzeby tłumaczy i zadawane przez nich pytania, pytania formułowane nader profesjonalnie, ale często zupełnie inne od pytań zadawanych przez czytelników polskich. Na przykład Doreen Daume, niestety przedwcześnie zmarła świetna tłumaczka Schulza na język niemiecki, zadawała

mi w swoich listach zupełnie nieoczekiwane i bardzo zasadnicze pytania dotyczące znaczeń poszczególnych wyrazów oraz wariantów interpunkcji w opowiadaniach. Od odpowiedzi na nie zależał sens tłumaczonych fragmentów tekstu. Nie wszystkie sprawy umiałem z absolutną pewnością rozstrzygnąć, a czasem ze specyfiki języka niemieckiego wynikała konieczność podjęcia jakiejś decyzji natury interpretacyjnej, która w polszczyźnie nie miała tak obligatoryjnego charakteru, nasz język bowiem dopuszczał tu dwuznaczność.

Piszę o tym w perspektywie rozpoczętych niedawno prac nad edycją krytyczną dzieł Schulza, edycją, która jest wypełnieniem elementarnej powinności polskiej humanistyki w stosunku do drohobyckiego pisarza. Wbrew pozorom bowiem tekstologiczna dłubanina nad opowiadaniem Schulza bynajmniej nie została ukończona, a moja edycja z „Biblioteki Narodowej” nie rozwiązuje z pewnością wszystkich problemów, jakie tu zachodzą. Cytowany przeze mnie list Jerzego Ficowskiego wprowadza nas w kuchnię edytorskiej problematyki sprzed ćwierćwiecza – edycja krytyczna niesie z sobą nowe kwestie, które trzeba będzie w nieco odmiennym trybie, ale z poczuciem wielkiej odpowiedzialności rozstrzygać.